Poświętne – dn. grudnia [1865]

Nie wiem, czy dojdzie Cię ten list, jestem bowiem zmuszony powierzyć go Henrykowi. W każdym jednak razie ryzykuję, bo cóż zresztą robić. Gorzej jeszcze. – Posyłam Ci przez tegoż młodzieńca moją powieść pod tytułem: *Ofiara*. Ja zacząłem coś i skończyłem? Sam nie mogę przyjść do siebie z radosnego zadziwienia i wyznać Ci muszę, że kiedym wyczytał wyraz: koniec – na piątym arkuszu, byłem prawie dumny z siebie. – Nie dlatego byłem dumny, żeby powiastka ta miała jakąś wartość szczególną – broń Boże – cieszyłem się z tego powodu, że z pięciu rozmaitych powieści, jakie zacząłem, pierwszą skończyłem zupełnie. – Wracam teraz do samej powiastki. – Najprzód muszę Ci powiedzieć, że to jest dziecię chorowitej wyobraźni mojej, które pewnego dnia, mniejsza o datę, poczęło się szarą godziną pod piecem, a w dwa dni później ujrzało już światło dzienne. Jest to malowidło jaskrawe jak wszystko, co wyjść może spod mego pióra. Bohater na początku skacze, w środku się uczy, a pod koniec płacze. Bohaterką jest córka budowniczego, nad której jednak charakterem nie rozpisywałem się bardzo, chcąc cały ciężar utrzymania powieści zwalić na bohatera samego. Ale największą wadą tej powieści jest nieproporcjonalność składowych jej części do całości – zresztą sam to zobaczysz.

Pomimo najłatwiejszej formy powieściowej, to jest opowiadania, nie potrafiłem uniknąć właściwych tej formie powtarzań się i nudnej jednostajności stylu. Trudno bo zresztą było pisząc prędko i na czas oznaczony, Henryk bowiem dziś wyjeżdża, wyminąć się ze wszystkimi nieuchronnymi następstwami prędkiego pisania. Gdybym miał więcej czasu, ociosałbym toporem zastanowienia te wszystkie chropowatości, które mogą razić delikatny smak czytelnika. Że jednak muszę się spieszyć z oddaniem, Tobie to zostawiam.

Przypomnij sobie, jak pewnego razu rzucałeś projekt abyśmy razem pisali jaką powiastkę. Prawda, że wtedy miały nam przypaść różne role względnie do tych, które dziś przybieramy, Ty bowiem miałeś wymyślić rzecz samą, a ja miałem ją obronić. Że jednak i ta rzecz, którą Ci posyłam, pomyślana jest nieźle, zrób więc, jeżeli masz czas, stosowne na ten temat wariacje, rozwałkuj je na kilkanaście arkuszy, a może wtedy wyjdzie coś podobnego do ludzi. Nie radzę Ci jednak zmieniać formy ani nawet przerabiać w zupełności, bo ręczę Ci, że spotkasz trudności, jakich nie przewidujesz. W takiej formie np. gdzie ktoś podstawiony przez autora opowiada rzecz samą, nie tak bardzo razi owo nudne: rzekł, powiedział, w te odezwał się słowa, itp. Co innego, gdy powieść wypływa z akcji osób działających – wtedy trzeba się ogromnie pilnować prawideł powieściowych, których my na nieszczęście nie znamy wcale, bo jak wiesz, nauki prozy prócz wymowy nie przechodziliśmy z Helladą.

Jak napisałem, pomyślałem też sobie, jakie wrażenie zrobi moja praca na znajomych, kolegach. Przyszło mi głównie trzy osoby na pamięć, a tymi są: Grochowski, Strzałkowski i Fagoński. Grochowski powiedziałby owo swoje lapidarne: „Dobrze". Strzałkowski by się zachwycał, a Fagoński obcierałby łzy płynące z jego tkliwych oczu i ciężkimi westchnieniami przegrywałby w czasie antraktów, tj. między periodami.

Ty, Sławiński *et comp*., jesteście krytycy i gotowiście suchej nitki na człowieku nie zostawić, ale ja bijąc w to, że to jest pierwszy utwór młodocianego autora, powtórzę w takim razie za Słowackim:

Krytykom, jak psom, ciskam parę kości
…………………………………………

z *Beniowskiego*. Mądre słowa, ale trudno się czasem do nich zastosować, zresztą powiedzieć je może tylko ten, kto ma śmiałość wyrzec: „Ja, syn pieśni, syn królewski!", a ja ani jedno, ani drugie, bo poezji nie piszę, a mój ojciec nie jest wcale królem, tylko skromnym obywatelem Pragi. Jedno od drugiego dosyć daleko.

Nowych planów do powieści przelatuje mi tysiące przez głowę, żeby nie szkoda było czasu, to bym was zasypał moimi utworami. Zbladł i zniknąłby Kraszewski. Na drugim arkuszu dotykam kwestii podobnej, ale żywiej nas obchodzącej.

Chcę mówić także o córce budowniczego, tej jasnowłosej, pod której spojrzeniem piersi podnoszą się westchnieniem, czoła płoną rumieńcem, a zatwardziałe serca medyków kołaczą się lękliwie, jakby pod naciskiem skalpela.

Nie mogę sobie dać rady, ciągle przypomina mi się *Beniowski* Słowackiego. Teraz staje mi na myśl ten wiersz:

A oczy jej paliły czoła…

…lub kiedy pomyślę o włosach, wiersz z opisu p. Anieli:

Ciężyły głowie swą jedwabną wagą.

I jeszcze w zastosowaniu ta chwila, kiedy Beniowski wita kochankę. Szkoda tylko, że nie pamiętam dobrze, ale coś tam jest takiego:

…Że nie wita kochanki jak wieszcz lub astronom,
…………………………………… ale jak ekonom.

Jacy ssą szczęśliwi ci, co się kochają, ja przynajmniej, słowo daję, zazdroszczę im z całego serca. Co to za błogie uczucie, tak jakoś rozdyma piersi, kiedy myślą złapie się Jej widok i wyraz: „Ona" przeleci w tysiącznych uroczych kształtach po rozpalonej głowie.

Wtedy poeta nie staje się „prozaikiem”, ale owszem myśl jego jeszcze barwniej i poetyczniej jaśnieje.

Ale gdy uczucia zabraknie, zwątpiały młodzieniec może razem ze mną zawołać posępnym głosem Jana na puszczy:

Wróćcie mi moje ułudzenia stare,
Miłość, nadzieję i wiarę.

Jan był bardzo głupi, że wołał tam, gdzie go nikt nie słyszał, ja też wolę go nie naśladować.

„Ach! i jam kiedyś wierzył z zapałem”. Tak, słowo Ci daję, wierzyłem, że przyjdzie chwila, kiedy ręka w rękę pójdziem z Kożuchonią… dzieląc z sobą szczęście wzajemne; ale ona widocznie potrzebowała doraźniejszego szczęścia, takiego, że ażby ciary po krzyżach przeszły, i naturalnie znalazła, bo to nic trudnego. Teraz i ja mam prawo podobnego poszukać.

Bo ta (mówię o Kożuchoni) wysoce poetyczna dusza potrzebowała chwil kilku i wolała raz, a dobrze, niż po łyżeczce aż do skutku. –

Lepsza w kwietniu jedna chwilka
Niż w jesieni całe grudnie –

Ja jednak załapałem się paskudnie na niej (to jest na jej charakterze)…

Potem kochałem się jeszcze w jednej, ale i ta warta Kożuchoni. Szczęśliwe to jednak były chwile, kiedy dwóch młodzianów głupich jak pierwszy człowiek, który dopiero co wyszedł z rąk Boga, niewinnych jak dwie turkawki, a zarozumiałych jak dwa osły siadało jakiej pięknej niedzieli do próżnego omnibusa i rozglądając się po próżnych miejscach mówiło oblizując się błogo: „Tu racuszek, a tu kartofelek”.

Minęły chwile szczęśliwe, niestety,
Gdybym u Hertowej miał łaski,
Kiedy mi łatwiej było o kotlety
Niż dziś o smutne kiełbaski.

Jeden z tych młodzianów lepiej trafił, był szczęśliwszy, boć oba trafiali na ślepo.

Kiedy przysłałeś mi fotogr. Br., przypatrywałem się z początku po kilka razy na dzień, potem rzadziej, teraz nie oglądałem jej już ze dwa tygodnie.

Ma minę tak bezecnie głupią, że strach powiedzieć. Zapomniałem Ci powiedzieć, że panny D. nie widziałem od tej pory, spodziewam się jednak, że nie wątpisz, iż ciągle mi od onej chwili stoi jakby kamieniem obraz jej krzywej główki i małych oczów. Rzeczywiście jest bardzo miła, ale brzydka porządnie.

Jeżeli Bielski oddał Ci już fotogr. Zbr., to przyślij mi ją, a byłby już bez żadnej ambicji, żeby jeszcze nie oddał po ostatnim moim liście, bo nawymyślałem mu, krótko mówiąc.

Napisz mi z łaski swojej, czy widziałeś już H. S. i czy nie zbrzydła lub wyładniała. Doskonałej się trzymasz polityki („precz z przeszłością”). Tamci, mówię o Czarnym, Łyniu i Śliwce, będą latać jak opętani – pozna ich niewątpliwie, a wtedy mimowolnie przeleci jej przez myśl: „A tamten gdzie się podział”. Naturalnie, będzie ją to gniewało, boć nie przypuszczam, żeby nie była ani trochę próżna. Zwłaszcza jak się spotkacie kiedy przypadkiem, a potem jeszcze nic, choć ona będzie wiedzieć, żeś ją poznał, ręczę Ci, że tupnie gdzie na uboczu nóżką i spyta się z niecierpliwością: „Co się to znaczy?!” Później będzie się starała wyperswadować Cię sobie. „E! to taki jakiś mazgaj etc., etc.” – Potem jeszcze zobaczy Cię gdzieś w towarzystwie, Ty nie będziesz się nią zajmował ani więcej, ani mniej jak drugim. Co mu się stało?! – pomyśli, coraz bardziej zaaferowana, aż nareszcie wystawiam sobie chwilę kiedy samotna z przyłożoną ręką do serca będzie marzyć o Tobie, a nareszcie zawoła prawie z przestrachem:

……………………… Jak mi w oczach ciemno!
Ja go kocham, mój Boże! zmiłuj się nade mną!”

Już naprzód obiecuję sobie, że na Boże Narodzenie zobaczę ją, doprawdy, szczerze jestem ciekawy.

Pokłoń się Fagońskiemu ode mnie i poproś, żeby napisał; to samo Sławiński; ma nadzieję, że Henryk zabawi ze dwa dni, to może znajdziesz czas być u mnie w domu.

Bądź łaskaw przysłać mi przepisane wyjątki ze Słowackiego: z *Beniowskiego* od miejsca, w którym zaczyna się strofa wyrazami: „Walenrodyczność, czyli Walenrodyzm” – i z wierszy *Do autora Trzech psalmów*: – „We łzach nasze ręce podnosimy do ciebie”.

Żebyś Ty mógł skąd wyrwać jakichkolwiek komedii i tragedii, cokolwiek innego, byle dramatycznego, byłbym Ci bardzo wdzięczny. Chciałbym wolnymi chwilami i w niedzielę ćwiczyć się w akcji przed lustrem i w deklamacji, gdyż pewnego razu, deklamując sobie szarą godziną, spostrzegłem, że nie potrafię już tak jak dawniej. Wyszło mi to ogromnie z użycia; blisko pół roku, jak nie miałem nic podobnego w ręku.

Nie myśl z tych słów moich, żebym miał zostać aktorem, nawet mi to po głowie nie chodzi, chyba żebyś i Ty rzucił medycynę, a wstąpił na deski teatralne, w takim razie dla kompanii dał się Cygan powiesić.

Ale zawsze. Może wypadnie co przeczytać mojej żonie w czasie długich wieczorów zimowych, no bo i cóż byśmy robili przez tyle godzin, chcę więc, żeby moja przyszła słuchała mnie z przyjemnością. Chyba że się na tym znać nie będzie, w takim razie mniejsza o nią.

Jeżeli się jednak nie ożenię tak prędko, to kto wie, może wstąpię do trapistów; Liszt wstąpił, to i mnie wolno.

Ach, jak ja wzdycham, żeby się ten psi rok skończył ja najprędzej, gdyż jeżeli będę tak żył dłużej, to albo oszaleję, albo powiem ruskim przysłowiem:

Wział didko duszu, taj niech wezne i tiło.

Siedzieć czasem całymi miesiącami i nie widzieć żadnej ludzkiej twarzy prócz fotografii to dla mnie mało, i bardzo nawet mało.

Zniechęcam się czasem tak, że mi i życie niemiłe, szczęście jeszcze, że się z byle czego śmieję i jak które z otaczających mnie stworzeń zadrze czasem oryginalnie ogona, śmieję się wtedy jakby na jakim widowisku. Nie wiem bowiem, jak nazwać rzeszę, z którą żyję. Istoty, które zjadają fiksatuary zamiast czekolady, które o niczym nie gadają prócz, co jadły i co, da Bóg, będą jadły w przyszłości, godziż nazwać się ludźmi?

Jestem jak na bezludnej wyspie. Bo z kimże gadać?…

Na przykład tych rozkoszy powiem Ci tylko, że od czasu, jak tu przyjechałem, tj. od Wszt. Św., nie ruszyłem się jeszcze krokiem z pokoju, chyba w róg ogródka.

Dodaj do tego, że listy z Warszawy odbieram raz na miesiąc, a będziesz miał wyobrażenie, jak mi tu przyjemnie. ----

Pytania odsyłam Łąckiemu, choć z wielkim strachem, żeby Henryk gdzie nie zagubił, ale niepodobna dłużej zwłóczyć.

Lada chwila spodziewam się listu z poczty od Ciebie, do tej pory jednakże nie ma, nie wiem, co się to znaczy.

Sam napiszę niedługo przez pocztę do Ciebie i tam do kogo jeszcze, teraz muszę list skończyć, bo pilno.

Bywaj zdrów.

H. S.